Rok 1937 24 października Nr 43

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

Drogami misjonarzy

Nie ma już na świecie zakątka, dokądby nie dotarła noga misjonarza. Jest on zarówno w gorących krajach Afryki, jak w lodowatych krainach podbiegunowych. Znają go czarni Murzyni, jak i bronzowi Indianie, żółci Chińczycy i Japończycy; znają go Eskimosi i Mongołowie i wszelkie inne ludy pogańskie.

Wszędzie, gdzie się zjawi taki apostoł, rozpala się światło Prawdy Bożej w duszach ciemnych, budzą się serca i umysły, zapoczątkowuje się cywilizacja, kultura, oświata, zanika brud, lenistwo, nieumiejętność, zabobon, nędza. Misjonarze bowiem dbają nie tylko o dusze, ale i o ciało tych, dla których wyrzekli się szczęścia osobistego. Tworzą więc wszędzie szkoły, ochronki, szpitale, warsztaty, uczą uprawy różnych roślin pożytecznych, podnoszą dobrobyt mieszkańców osady.

Dla misjonarzy nie istnieją przeszkody, które by ich zdołały powstrzymać od spełnienia najcięższych nawet obowiązków. Poprzez góry i rzeki, poprzez pustynie lodowe i wysuszone słońcem stepy, konno, na mułach czy piechotą, łodzią czy ze skór foki sporządzonym kajakiem — zawsze gotowi i chętni, odbywają dalekie, uciążliwe podróże dla dobra drugich i dla Bożej chwały. Wszędzie przezwyciężają trudności, przed którymi inni ludzie z pewnością by się cofnęli.

A jest na świecie taki kraj, gdzie dla misjonarza wstęp jest zakazany. Jest to Tybet w Azji, kraj o górach olbrzymich, których szczyty najniższe wynoszą 1500 do 2000 metrów wysokości. Państwem tym rządzi i władzę religijną sprawuje tam Dalaj Lama, czyli najwyższy duchowny zwierzchnik wyznawców Buddy. W ogóle władcami są lamowie, żyjący w osobnych niby klasztorach, które są zarazem domami zajezdnymi i targowiskami. Ludność podległa lamom, prowadzi nędzny żywot koczowniczy, żyje w namiotach zrobionych ze skór tamtejszego zwierzęcia zwanego yaka, którego mięsem się żywi, a skórami odziewa. Jak niską jest tam cywilizacja, dowodzi chyba najlepiej to, że Tybetańczyk nigdy się nie myje. Dróg w tym kraju nie ma żadnych. Podróżny musi wędrować wąziutkimi dróżkami, wijącymi się wśród gór na olbrzymich wysokościach i przestrzeniach.

A jednak i do tego zakazanego kraju zdołała dotrzeć stopa misjonarza. Chociaż w Tybecie podległym Dalaj Lamie, wolno zamieszkiwać jednemu tylko misjonarzowi, to przecież w innych częściach tego kraju podlegającym już rządowi chińskiemu, znajduje się aż 20 placówek misyjnych z biskupem diecezjalnym na czele. Aby się z tymi braćmi swoimi widzieć, musi ów tybetański samotnik wędrować do nich straszliwym bezdrożem dzikiej, górskiej krainy.

Mimo, że Tybetańczycy są bardzo przywiązani do swych wierzeń, przecież praca nieulęknionych misjonarzy wydaje owoce, tak, że na ogół w Tybecie przebywa około 5000 chrześcijan. Jest to kropelka w milionowym morzu pogaństwa, jednak nie odstrasza to ofiarnych apostołów Chrystusa. W ostatnich tygodniach właśnie dwóch młodych, co dopiero wyświęconych na kapłanów misjonarzy, opuściło wspaniały, bogaty, olśniewający kulturą Paryż, by udać się w daleką, niebezpieczną podróż do dzikiego, groźnymi tajemnicami religi Buddy okrytego Tybetu. Prowadzi ich tam

duch apostolski. miłość dla Chrystusa Pana, którego światłem wiary chcą rozegnać mroki pogaństwa.

Niechaj ich Bóg prowadzi i błogosławieństwem w pracy nagradza ofiarne trudy. A nasza pamięć o nich w modlitwach niechaj im towarzyszy w odległych wędrówkach.

Królowa Miłosierdzia

(Dokończenie)

Ręce królowej opadły w dół bezwładnie, a na twarzy odmalował się wielki smutek. Oczy skierowały się ku górze, kędy wisiał duży krzyż ze Zbawicielem.

— O, Jezu mój i Panie najsłodszy! Tobie się to wszystko należy... Jak najcudniejsze kwiaty złożyć pragnę u Twoich stóp wszystkie uczucia ludzkich serc, jakimi mnie darzą niegodną. Weź to ode mnie na Swoją chwałę, a mnie ostaw w ogrodzie życia, jako ten kwiat zapomniany, którego niczyje nie dostrzega oko. Bowiem nad wszelki wyraz hojnie obdarowałeś już Sam służebnicę Swoją... — modliła się bezsłownymi myślami.

Odstąpiła wreszcie kroków parę od klęczącej ciągle na ziemi dziewczyny i rzekła głosem łagodnym:

— Możesz odejść, Zochno, do swojej roboty... dzisiaj nie będę z was żadnej potrzebowała dla siebie.

Ale dziewczyna nie ruszała się z miejsca. Wbiła tylko wylęknione źrenice w postać królowej i wyrzuciła szeptem zduszonym:

— Przebacz... pani łaskawa... nie gniewaj się... nie chciałam cię obrazić... ja przecież tak kocham ciebie... o, Boże...

Z ostatnim, ledwie dosłyszalnym słowem, Zochna niby kwiatuszek nadłamany osunęła się cicho na kamienną podłogę.

Poskoczyła ku niej królowa. przyklękła, wsunęła ramię pod omdlałe ciało dziewczęce i uniosła je z nad ziemi. Złotowłosa główka dziewuszki bezwiednie tuliła się do piersi ukochanej królowej, jakby w serdecznej pieszczocie.

Trwały tak dłuższą chwilę w niemym uścisku, gdy wreszcie Jadwiga, widząc, że Zochna nie wraca do przytomści, przytknęła usta do jej czoła. Pod tym pocałunkiem dopiero martwa twarzyczka dziewczęcia zaczęła nabierać życia; na policzki wypłynął słabiutki rumieniec, powieki drgać zaczęły, wreszcie się podniosły, odsłaniając szafirowe źrenice. Wpatrzyły się one od razu w twarz pochyloną ku sobie, wpatrywały się coraz uważniej, z coraz większym zdumieniem, aż wreszcie — jakby nie mogły dać wiary temu co widzą, nakryły się znowu powiekami. I tylko ledwie dostrzegalny uśmiech nieopisanej radości, jaki ukrasił pobladłe usta, świadczył o tym, że Zochnie powraca utracona świadomość.

Niebawem opuszczała komnatę królewską napełniona szczęściem, o jakim nigdy marzyć nie śmiało jej sieroce serduszko.

. . . .

Nikt nie spodziewał się dzisiaj w szpitalu odwiedzin królewskiej opiekunki. Była tam przecież co dopiero, a teraz ten deszcz zalewający strugami wszelkie drogi w mieście tym mniej mógł komukolwiek nasunąć myśl o jej zjawieniu się ponownym. Zresztą trzeba było ciągle zabezpieczać miejsca niezbyt pewne przed wdzierającą się wodą. bo niedawna burza ze straszliwą wichurą, jaka przeszła nad Krakowem. mocno nadwątliła dachy budynków.

Zelżono sobie więc nieco w trosce około chorych, którzy i tak już dostatecznie zadawali trudu i przykrości. A już ostatni nędzarz, jaki się tu zjawił, stał się dla wszystkich przedmiotem najokropniejszego wstrętu i obrzydzenia. Całe jego ciało było prawie jedną przeokropną raną, z której sączyła się cuchnąca ropa pomieszana z krwią.

Nikt nie miał odwagi ani ochoty zabrać się do tego nieszczęśnika, aby obmyć, opatrzyć, a tym samym przynieść mu bodaj niewielką ulgę w cierpieniach. Spodziewano się, że rychło śmierć go uwolni od wszystkiego i w ten sposób odpadnie konieczność zajęcia się nim.

To też jak grom z jasnego nieba padła

na wszystkich wiadomość, że mimo ulewnego deszczu, zjawiła się u furty królowa. Nikt jej nie towarzyszył, nikogo bowiem nie chciała narażać na przemoczenie do ostatniej nitki, sama jednak nie dała się zatrzymać tak wstrętnej niepogodzie i owinąwszy się w chusty, które by ją trochę zabezpieczyły od deszczu, pospieszyła za głosem serca.

Zresztą ciągnęło ją dziś coś przemożnie do tego przytułku ludzkiego cierpienia, a i własna jej dusza rwała się z pociechą dla drugich tym mocniej, im bardziej sama czuła się zbolałą.

Zdjęto natychmiast z ramion pani przemoczone okrycia, na stopki włożono czyjeś chodaki, aby i trzewiki mogły nieco przeschnąć, chciano też posilić czymś utrudzoną, ale królowej spieszno było tylko do chorych.

W czasie gdy ją troskliwie przebierano, ktoś przesunął cichaczem barłóg z nieszczęsnym nędzarzem w najciemniejszy kąt wielkiej izby i zasłonił go jeszcze rozwieszoną na sznurze płachtą, byle tylko nie mogło dostrzec go oko miłosiernej opiekunki.

Po niedługiej chwili pochylała się już Jadwiga nad łożami chorych, sama podawała im lekarstwa, poprawiała pościel, wszędzie zostawiając jakąś niewysłowioną pociechę, radę, pokorne wzbudzając poddanie się woli Bożej. Trwało to długo, aż wreszcie przy ostatnim łożu prostować zaczęła królowa zgarbione plecy. Śledziły ją czujne oczy wszystkich i żegnały uśmiechem podzięki lub łzą smutku rozstania.

Starano się teraz zająć królowę innymi sprawami przytułku, wytaczając najrozmaitsze potrzeby, jakich wymagał podniszczony budynek; chciano ją prowadzić na drugą stronę, gdzie się mieściła kuchnia, ale Jadwiga słuchała wszystkiego dziwnie obojętnie, jakby niewiele poświęcając uwagi temu co mówiono.

— Może miłościwa pani skorzystać by chciała z tego, że zlewa nieco ustała — odezwała się jedna z kobiet, spoglądając ku oknu, za którym rzeczywiście rozjaśniało się wśród jednostajnej powłoki chmur na niebie.

— Ależ my kolasę u Ojców pożyczymy z klasztoru i pojedzie najmiłościwsza pani z powrotem, aby już nie przemoknąć tak po raz drugi... — rzuciła inna.

— Nie trzeba — odparła Jadwiga — odejdę jakom przyszła, ale jeszcze nie zaraz — i zaczęła wodzić wzrokiem kolejno od jednego łoża do drugiego.

Zaniepokoiły się niewiasty i dalejże prosić najjaśniejszą protektorkę, aby zechciała spocząć poza obrębem sali z chorymi, tam, gdzie i powietrze lepsze i oko nie potrzebuje ciągle oglądać ludzi cierpiących. Ale królowa wciąż jakby niespokojnie szukała czegoś po sali, wreszcie rzuciła pytanie:

— Nie przybył tu nikt od czasu kiedym do was ostatni raz zajrzała?

Zmieszały się kobiety, a najstarsza pośpieszyła zaraz z wykrętną odpowiedzią:

— Nie mamy więcej miejsca dla chorych poza tą jedną izbą, którąś obeszła, miłościwa pani...

— Ciasno im tu biednym, ciasno... ale cóż robić, skoro taka wola Boża — dorzuciła pokornie druga.

Jadwiga nic nie odparła, jeno powoli zaczęła się oddalać w stronę przeciwną sali, jakby raz jeszcze chciała obejść wszystkich dokoła na pożegnanie.

Szły za nią znowu serdeczne spojrzenia, słowa błogosławieństw lub ciche westchnienia, jedne dozorczynie tylko cierpły w sobie, stojąc nieruchomo w miejscu.

Królowa coraz wolniejszym krokiem zbliżała się ku kątowi zasłoniętemu płachtą. Ręce złożyła na piersiach, jakby powstrzymać chciała łomotanie serca, a oczy do połowy przysłoniła drżącymi powiekami. Wreszcie ujęła w palce zwisające płótno i spojrzała w głąb. Zmartwieli wszyscy, nikt jednak nie śmiał wypuścić z siebie ani słowa. Po chwili zasłona zapadła, kryjąc sobą szczelnie i barłóg nieszczęśliwego i klęczącą przy nim królowę.

. . . . : : :

A kiedy po długich godzinach tajemnej rozmowy opuszczała świątobliwa królowa dom cierpienia, opuścił go i Chrystus. On to bowiem pod postacią naj-

nędzniejszego biedaka chciał raz jeszcze wypróbować serce swojej służebnicy.

Jej pełne litości pocałunki, pod którymi goiły się cudownie krwawe rany nędzarza, wynagrodził nagrodą widoku własnego oblicza... Ono ukoiło tę rozpaczną tęsknotę, na jaką ubiegłej nocy żaliła się przed Panem i napełniło przedsmakiem nieba serce Jadwigi, tak niezwykle czułe na każdy ból cudzy na ziemi.

Ela Oleska.



Konkurs modeli samolotów zorganizowany pod Świętochłowicami na Śląsku przez młodzież szkolną z okazji otwarcia na Górze „Hugona" lotniska dla szybowców.

Pilotem ja chcę być!

Jakże bardzo jabym chciał,
żeby to mój model zwiał,
prosto z ziemi hen do góry,
ponad wieże, aż do chmury!

Przecież ja chcę być pilotem!
Na szybowcu cichym lotem
płynąć, lecieć niby ptak.
Ach, chcę bardzo bujać tak!

Jeśli model mi się uda...
O... już roją mi się cuda!
Wnet aparat robię sam —
wszystkim drwinom zadam kłam.

Bo pilotem ja chcę być —
o tym nie przestanę śnić!
Ponad polską latać ziemią,
ponad ludźmi, co oniemią,

gdy zobaczą Antka „Smyka"
jak w powietrzu im pomyka,
jak im niknie w sinej mgle..
Tak! pilotem ja być chcę!

A więc dalej, dalej, wzwyż!
Mój latawcze śpiesz się, śpiesz
Wszak uczniowskie te mozoły
Chlubą naszej będą szkoły!